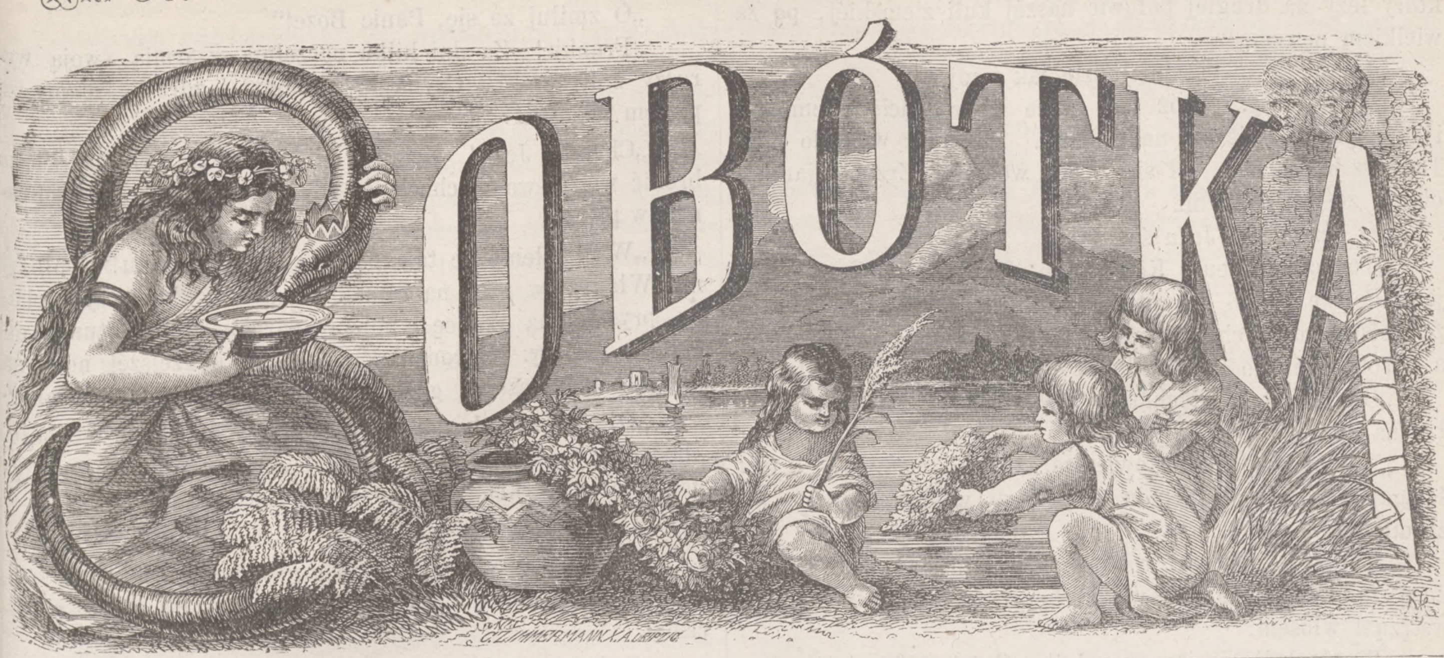
Nr. 36. Poznań, dnia 2. Września 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1½ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

POWIASTKA

z roku 1795.

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Ciąg dalszy.)

III.

W ciągu zimy dochodziły wieści i do dolnego Sitowca, że coś knuje się w Polsce, by obce zrzucić jarzmo. Król Stanisław za nadto podległ carowéj moskiewskiéj Katarzynie, to téż i górę nad nim wzięła, a Moskale rozpostarli się na dobre po kraju; przewodzili i ciemiężyli, jak mogli — i straszne działy się bezprawia. Wiedziano, że wywieźli na Syberyą biskupów polskich i że ciągle a ciągle aresztują, łapią tych, co im nie sprzyjają i wywożą na dalekie wygnanie. Więc téż wytrwać tak dłużéj było niepodobna — i byłoby nawet nikczemnie — to téż cały sprzysiągł się naród i panowie, szlachta, mieszczanie i chłopi, ażeby ująć się silnie za ręce, jak bracia i wroga z kraju wypędzić.

Mówili sobie o tém i chłopi w karczmach, a parobcy, to aż pięści skulali.

Przejeżdżający żydek przywiózł wiadomość, że generał polski Madaliński już powstał. Otrzymał on rozkaz, ażeby wojsko swoje rozpuścił — a było go piętnaście tysięcy — albo przeszedł z niem do Moskali. Na to Polak dobry oburzył się strasznie i bił więc nieprzyjaciół, jakich napotykał, strzelał, rąbał i podążał prosto do Krakowa.

Było to ku końcowi Marca. Wiosna zazieleniła łany. Drzewa i krzewy młodziuchne puszczały listki.

Wieczór zapadł. Przez pole sitowieckie, w zarzuconéj na barki sukmanie, biegł Franek do Leśno-Woli, co nogi wystarczyć mogły; pan Władysław przysłał po niego stajennego i był to święty rozkaz dla Franka.

Biegł na przełaj, przeskakiwał rowy, płoty i zadyszany stanął we dworze.

Pan Władysław przechadzał się po pokoju, gdy wszedł Franek. Pokłonił się, pochwalił Pana Boga, a panicz powitał go radośnie.

„Takżeś się pospieszył, mój zuchu!“ zagadał.

„Oj panicu... wielmozny panicu, biegłem co tchu starcyło... Bo i miarkowałem, ze to coś pilnego.“

„Zgadłeś, mój kochany, bo i pilno bardzo... Wszakżeś słyszał, jak to w Polsce nieprzyjaciel przewodzi?“

„O laboga!“ Franek westchnął i podrapał się w głowę.

„I słyszałeś, że cały zbiera się naród, by ciemiężcę wypędzić?“

„A juźci. I daj to Panie Boze, Matko Przenajświętsa!“ Franek pobożnie złożył dłonie.

„Otóż powiem ci. Do Krakowa zjechał wielki wojownik, generał Tadeusz Kościuszko.“

„Polak?“

„Och, Polak, a jaki jeszcze! Najlepszy pod słońcem. Był on w Ameryce. Ameryka jest to jakby świat inny,

który leży na drugiéj połowie naszéj kuli ziemskiéj, po za wielkiem morzem.“

„I tam są tacy sami ludzie jak i my?“

„Takusieńcy. Otóż ich także nieprzyjaciel ciemiężył i zapragnęli wybić się na wolność. Popłynął więc do nich Tadeusz Kościuszko, bił się za ich wolność. Zrzucili jarzmo obce i zostali wolnymi.

„O Jezu! mój Jezu święty!“

„Ten oto Tadeusz Kościuszko, wielki generał, a miłujący Polskę ponad wszystko, wrócił z Ameryki na odgłos, że Polska podłe chce zrzucić jarzmo. Stanął w Krakowie, a naród zaraz go naczelnikiem okrzyknął.“

„O mój Boże kochany! Jezusieńku!“ parobek miał łzy na źrenicy.

„Kościuszko w Krakowie zaraz rząd ustanowił. Pościągał wojsko. A do ludu wiejskiego wysłał odezwę, by zbroili się w piki i kosy.“

„Ehę! Rozumiem, rozumiem! Ogniście — to można kosą zamiatać!“ Frankowi zaiskrzyły się oczy, i bujnym wstrząsł włosem.

„Przyłączyli się do naczelnika Kościuszki“ dalej opowiadał pan Władysław, „generałowie Wodzicki, Czapski, Ożarowski, Biernacki. Ma jedenaście armat. A dzisiaj już pięciuset kosynierów.“

„O zmiłuj ze się, Panie Boze!“

„Franku! Za dni kilka naczelnik z armią swoją wyruszy z Krakowa. Czyliż my, młodzi i zdrowi, mamy za piecem pozostać?“

„Chryste Jezu! Uchowaj, Matko Najświętsa! Trza bronić wiary swojéj, choćby i zycie położyć“, uderzył się Franek w piersi.

„Wiedziałem, że tak powiesz, mój Franku!“ położył mu Władysław rękę na ramieniu. „Otóż więc, mój kochany, pryśniéj na okolicę i zbieraj parobków na ratunek ojczyzny i wiary. Zgromadzimy się po jutrzejszéj nocy na błoniach pod lasem, gdzie to zawsze zlatują się bociany.“

„Oj bociany, bociany!“ zaśmiał się Franek ochoczo, „będziemyz, da Bóg dobry, bocianami!... No, ale, to więc nogi zapas i drała!“ wyrzucił w tył włosy.

„Czas nagli.“

„Prysnę i zaraz, Panu Bogu oddaję!“ pokłonił się, a Władysław oburącz głowę jego ujął i do piersi przycisnął.

„Gwiżdżąc sobie wesoło, parobek wybiegł ze dworu, pogonił w pole — i w cieniach zniknął wieczoru.

(C. d. n.)

STOWARZYSZENIE MIĘDZYNARODOWCÓW

(INTERNATIONALE).

W naszych czasopismach obecnie tak często wspomina się o „internacyonalach“, o stowarzyszeniu groźném dla całego społeczeństwa, że czujemy niejako obowiązek zaznajomić Czytelników z tém stowarzyszeniem, którego aczkolwiek dążność nie jest wcale nowa, jednakże w swéj obecnéj formie jest dzieckiem, a może potwornym płodem naszego czasu.

Praca tego stowarzyszenia, za którą od dość dawnego czasu każdy myślący a prawy człowiek śledzi z pewném gorączkowém wytężeniem, przez niejaki czas mniéj nas zajmowała, bo wszyscy z ciekawością patrzyliśmy na olbrzymi pojedynek dwóch rywalów, na pojedynek, jakiego świat nie widział dotąd. Pojedynek ten skończył się; jeden z rywalów uległ pod śmiertelnymi ciosami drugiego, aż tu nagle występuje w bratobójczéj walce tak zwanéj komuny w Paryżu — zbrojne stowarzyszenie międzynarodowców, które przez kilka tygodni przedstawiało zdumionemu światu tragedyą, jakiéj jeszcze nie widział nigdy, a w porównaniu z którą wszystkie walki biednych z bogatymi w starożytnym Rzymie, nawet mordy popełnione przez okrutnego Sullę, zdają się być zabawami dzieci, niewprawnych jeszcze do mordów.

Teraz, kiedy pokój w Europie przywrócony, na wszystkich, pragnących dobra narodu i ludzkości ciąży obowiązek zwrócić uwagę na to stowarzyszenie, by nas wypadki nie zaskoczyły. Stowarzyszenie międzynarodowców jest dzieckiem kwestyi robotników, która czeka jeszcze ostatecznego, spokojnego rozwiązania, gdyż to przyznać musi każdy, że położenie robotników tak wiejskich jako i fabrycznych, nie odpowiada obecnym potrzebom. Ztąd jednak wcale nie wypada, żeby gwałtem, mordami i pożogami robotnicy mieli prawo rozwiązać tę kwestyą, bo to nie byłoby postępem cywilizacyi, ale jéj cofaniem, a raczéj kompletném wytępieniem.

W bratobójczéj walce w Paryżu międzynarodowcy tak przeważną odgrywali rolę, że francuski minister Jules Favre niejako czuł się zobowiązanym w cyrkularzu z dnia 6 Czerwca, przed Europą wystąpić z oskarżeniem tego stowarzyszenia, przestrzegając ją przed grożącem niebezpieczeństwem.

Jakiego zaś rodzaju jest to niebezpieczeństwo, łatwo sobie wyobrazić z tego, że międzynarodowcy są wrogami wszelkiéj religii, familii i własności, na których to podstawach spoczywa wszelkie urządzenie państwowe i cała nasza cywilizacya. Najwybitniéj to pokazało się z dziesięcio-tygodniowego panowania ich w Paryżu. Podlejszego rządu jak ten, który przez tak długi czas rozkazywał dwumilionowéj ludności, jeszcze prawie na świecie nie było, jeśli wyłączymy rządy najgorszych cesarzy rzymskich i cara Iwana groźnego w Moskwie. Paryska komuna rozpoczęła swoje rządy zamordowaniem generałów Clement Thomas i Lecomte a przez cały peryod swego panowania dopuszczała się ona mordów, kradzieży, rabunków, i skończyła morderstwem 64 zakładników, najniewinniejszych ludzi, oraz pożogą niepraktykowaną dotąd jeszcze.

Wszystko to jeszcze jest w zbyt świeżéj pamięci, żeby się obszerniéj nad haniebnym tym widokiem rozwodzić. Nam tu chodzi o co innego. Z zasady należałoby sądzić, że świat cały z oburzeniem tylko powinien wspominać o zbrodniach popełnionych przez komunę paryską. Tymczasem ze zdumieniem widzimy, że międzynarodowcy na swych zebraniach w Brukseli, Londynie, Berlinie, Wiedniu, Kolonii, Barmen i t. d. głośno i jawnie pochwalili postępowanie komuny. Co więcéj, prasa niemiecka i francuska, rozumie się w organach stowarzyszenia, jak „Volkstaat“ i „Egalité“, splamiła się stawając w obronie zbrodni komuny. Pierwsze z tych pism, organ Liebknecht-Bebel'a powiada: „jesteśmy za komuną, i wspólnie z nią jesteśmy gotowi za jéj czyny przed każdym odpowiadać.

Dotąd polska prasa w kraju się nie splamiła pochwałami tego bezecnego rządu; my jedynie nie potrzebujemy się rumienić, bo żadne polskie pióro dotąd nie stawało w obronie komuny, i pod tym względem niejeden naród nam zazdrościć może; my żadnemu!

Mimo to mamy obowiązek obznajomić Czytelnika z urządzeniem tego strasznego stowarzyszenia, nie dla tego, żeby odstraszać od niego, bośmy mimo naszéj biedy, mimo trudnego politycznego położenia naszego, jeszcze nie upadli tak nizko, by się solidarnie związać z temi nowożytnemi wandalami, ale dla tego, żeby oddać dążność jego pod sąd naszéj publiczności, bo ta dążność jest dotąd mało znaną.

Pierwszą wzmiankę o stowarzyszeniu międzynarodowców (internationale) znajdujemy w paryskiéj korespondencyi do angielskiéj gazety „Times“, w roku 1862 w czasie powszechnéj wystawy w Londynie. W téj korespondencyi czytamy co następuje:

„Szczegółowe sprawozdanie o międzynarodowcach leży przedemną. Z niego pokazuje się, że, chociaż to stowarzyszenie dopiero od dziewięciu lat istnieje, już liczy przeszło 2,500,000 członków. Do téj liczby jednak nie wchodzą rozmaite polityczne i rewolucyjne związki, których plany popiera stowarzyszenie międzynarodowców, jak n. p. Fenianie, bracia republikańscy w Marsylii i Lionie, rozmaite tajne stowarzyszenia w Rosyi, i rozprzestrzeniony po całéj Europie związek Carbonary (włoskich tak zwanych węglarzy). Komitet centralny międzynarodowców, który także i w Ameryce ma licznych zwolenników, znajduje się w Londynie, a kierującym jego duchem jest Niemiec, który powziął plan zorganizować ostatecznie teorye Baboeuf'a, Proudhona, Jacobiego i innych w Berlinie i nadać im namacalną formę, t. j. wprowadzić je w życie. Ten komitet centralny składa się z generalnego sekretarza i piętnastu członków; prezesa nie ma. Każdy kraj stanowi osobną gałąź stowarzyszenia, która znów jest podzielona na sekcye. Każde ważniejsze centrum jest znów podzielone na sekcye i ma centralne bióro. Każde z tych centralnych biór wysyła co tydzień do Londynu: 1) szczegółowe sprawozdanie o politycznych i handlowych wypadkach okolicy; 2) wykaz nowo przybyłych członków; 3) wykaz finansów sekcyi; 4) imienny wykaz wszystkich kupców i przemysłowców; 5) imienny wykaz większych posiedzicieli i znaczniejszych kapitalistów; 6) kopię protokułu posiedzenia. Rozumie się, że prócz tego jeszcze są tajne instrukcye co do wyłączenia członków z towarzystwa, o postępowaniu przy mających się zorganizować strykach (bezrobociów) i t. d.“ Że członkowie stowarzyszenia regularnie płacić muszą pewną kwotę pieniężną do wspólnéj kasy, przypuszczać można ztąd, że Assi, naczelnik międzynarodowców we Francyi, z rozkazu kolegów swoich w komunie paryskiéj został aresztowany, z przyczyny téj, że mu chcieli wydrzeć 600,000 franków, należących do stowarzyszenia międzynarodowców. Powiadają, że paryska komuna z kas międzynarodowców w Niemczech znaczne posiłki pieniężne odebrała, czemu jednak niektórzy zaprzeczają.

Dla uzupełnienia powyższego dodać jeszcze musimy niektóre szczegóły z cyrkularza Favr'a, o którym już wspomnieliśmy. Opisując przyczyny téj strasznéj rewolucyi powiada w następstwie: „opuściłbym jeden z najważniejszych elementów téj smutnéj historyi, gdybym nie wspomniał o tém, że obok jakobinów stali przewódzcy stowarzyszenia międzynarodowców, które obecnie zyskało tak smutny rozgłos, a którego działalność może była znaczniejsza niżeli ich wspólników zbrodni, gdyż ich popierała liczba, dyscyplina i kosmopolityzm.“

Międzynarodowe stowarzyszenie robotników jest jedném z najniebezpieczniejszych, z którém rządy mieć będą do czynienia. Czas założenia jego już jest nieco odległy. Zdaje się bowiem, że ono już przed 1862 rokiem istniało.

Przyznać trzeba, że staranie się robotników, aby do siebie się zbliżać, jest bardzo naturalném i prawném. Od więcéj niżeli 40 lat myśleli już o tém, a chociaż policya i sądy na mocy praw temu przeszkadzały, robotnicy swego celu nie stracili z oka. W ostatnich dziewięciu lub dziesięciu latach jednak bardzo rozprzestrzenili krąg swego działania a idee ich przyjęły charakter mogący niepokoić społeczeństwo. Jak już samo nazwanie okazuje, mieli założyciele tego stowarzyszenia zamiar zatracić wszelką narodowość dla wspólnych, wyższych interesów, i z początku można było sądzić, że myśl ta pochodzi jedynie z szlachetnéj dążności do ogólnego pokoju i miłości ludzkości.

Urzędowe dokumenta sprzeciwiają się jednak takiemu przypuszczeniu. Stowarzyszenie międzynarodowców jest związkiem nienawiści i wojny. Fundamentem jego jest ateizm i komunizm; celem zniszczenie kapitału i posiadających takowy. Brutalną siłą liczby zamierza ono zgnieść wszystko coby się śmiało opierać.

Taki jest program, który przewódzcy z bezczelną śmiałością ogłosili; który publicznie w swych zebraniach przedstawili i bez dalszych objaśnień w swych czasopismach publikowali. Komitety są czynne w Szwajcaryi, w Niemczech, Anglii i Belgii. W Rosyi, Austryi, Włoszech i Hiszpanii mają licznych członków.

Nie krzywdzimy wcale stowarzyszenia międzynarodowców, jeśli o niem twierdzimy, że obalenie wszystkich zasad społeczeństwa i obecnéj cywilizacyi jest regułą ich postępowania. Ono to samo ogłosiło.

„Żądamy — tak powiadają międzynarodowcy w swém urzędowém czasopiśmie pod dniem 25 Marca 1869 — bez-

pośredniego prawodawstwa narodu dla narodu, zniesienia indywidualnego prawa do spadkobierstwa kapitaliów i narzędzi tudzież przekazania ziemi ogółowi.“

Rada generalna w Londynie, którą ustanowiono w roku 1869 powiada: „Stowarzyszenie jest ateuszowskiem; chce ono zniesienia religii, zastąpienia wiary przez naukę, boskiéj sprawiedliwości przez ludzką; zniesienia małżeństwa. Przedewszystkiem żąda ono zniesienia prawa jednostki do spadku, żeby w przyszłości wszyscy równe mieli prawo do produkcyi i żeby stosownie do postanowienia ostatniego kongresu w Brukseli narzędzia, jak wszelki inny kapitał były własnością towarzystwa (ogółu) t. j. związków rolniczych i przemysłowych.“

Oto główna treść nauki międzynarodowców; dla zniszczenia wszelkiéj osobistéj działalności, jak wszelkiéj osobistéj własności i narzucania narodom jarzma najkrwawszéj tyranii, tudzież dla zrobienia z nich zubożałe i zgłupione stado, ludzie, których duch przyjął spaczony kierunek, straszą świat, uwodzą nieświadomych i pociągają za sobą wielką liczbę sekciarzy, którzy w obudzeniu ekonomicznéj mrzonki, że bez pracy człowiek wszelkich roskoszy używać powinien, widzą cel i przeznaczenie człowieka.

Tak przewódzcy w rzeczy saméj przedstawiają prostym ludziom, których oszukują swoją nauką. Ogłoszenie ich z 29 Stycznia 1870 opiewa:

„Robotnicy świata, organizujcie się, jeśli nadal nie chcecie cierpieć nadmiaru natężenia i pracy.“

„Stowarzyszenie międzynarodowców postawi porządek, naukę i sprawiedliwość na miejsce nieporządku, nieostrożności i samowoli.“

„Dla nas zresztą, czerwona chorągiew jest symbolem powszechnéj miłości ludzkiéj; wrogowie nasi niechaj się wystrzegają zrobić z niéj chorągiew strachu.“

Te kilka zdań nie potrzebują objaśnienia; one są i tak zrozumiałe. Europa znajduje się w obec burzącéj wszystko siły, która jest skierowana przeciwko wszystkim narodom, przeciwko wszystkim instytucyom cywilizacyi.

Obecnie, kiedyśmy już widzieli najznakomitszych ludzi tego stowarzyszenia u steru władzy, już nie możemy wierzyć ich pokojowym frazesom. Wiemy jaką one mają wartość. Ostatnim wyrazem ich systematu może tylko być najstraszliwszy despotyzm małéj liczby przewódzców nad tłuszczą uginającą się pod jarzmem niewoli. Despotyzm ten jest tym straszliwszy i szpetniejszy, że się rozciąga do sumienia, przepisując wszystkim z góry w co mają wierzyć, a raczéj w co nie wierzyć, wyganiając w drodze administracyjnéj Boga i familię z serca ludzkiego.

Położenie Europy jest brzemienne w wypadki. Rządy i narody obojętnie przypatrywać się jemu nie mogą nadal i nie powinny. Po naukach jakie odebrały na wiosnę tego roku byłoby godném kary, gdyby obojętném okiem chciały spoglądać na ruinę reguł, które są podstawami moralności i bogactwa narodów. Stowarzyszenie, które wyraźnie ma za godło: „że wszelka własność jest kradzieżą“, które chce uwolnić wszystkich zbrodniarzy, jako ofiary obecnie panującéj niesprawiedliwości, jest niebezpieczeństwem dla ludzkości.

Przeciwko takiemu oskarżeniu przewódzcy stowarzyszenia międzynarodowców w Londynie wprawdzie już protestowali, lecz fakta nie świadczą za ich słowami. Chybione w Paryżu przedsięwzięcie, zamach na zasady cywilizacyi, powtórzy się z pewnością znów w innym kraju, by dojść do trwałego panowania, które, jak czasopismo Egalité, wychodzące w Genewie a będące głównym organem międzynarodowców mówi, należy się rolnikom, stanowiącym przeważną większość ludzkości. Przed takiem panowaniem rządy ludzkość uchronić powinny.

Wszakże nie jesteśmy tego przekonania, aby to miało nastąpić za pomocą prześladowań. Prześladowania tworzą męczenników choć przewrotnéj idei, a męczennik — wiarę szerzy.

Tu innych środków używać trzeba, bo równowaga między posiadającą klasą i ubogą, nic nie posiadającą roboczą zupełnie nie istnieje, a tylko przywrócenie jéj może stowarzyszenie międzynarodowców rozwiązać.

Nie tu miejsce wskazywać na środki wiodące do tego celu; wszakże wolno nam powiedzieć, że doprowadzenie robotnika do dobrobytu, przez to że się jego pracę tak nagrodzi, żeby mógł cokolwiek oszczędzić na starość, na dni niemocy; oraz podniesienie oświaty za pomocą dobrych szkół, do których wstęp by każdemu był ułatwiony, podług nas byłyby najważniejszemi środkami do zniszczenia stowarzyszenia międzynarodowców, albowiem większa część stowarzyszonych więcéj nie pragnie nad to, cośmy tu wskazali. Powtarzamy tylko, że każde nowe prawo wydane w celu prześladowania międzynarodowców, uważalibyśmy ze stanowiska ludzkości za nową niesprawiedliwość, za nowy gwałt przeciwko niéj saméj, tak mało doprowadzające do zamierzonego celu, jak niegdyś edykta rzymskich cesarzy doprowadziły do wytępienia chrześciańskiéj religii, inkwizycya do wytępienia tak zwanéj herezyi, cenzura do zniszczenia myśli. To wywołałoby tylko walkę, która byłaby prowadzona z jednéj strony z niesłychanym fanatyzmem, a z drugiéj strony z okrucieństwem nadzwyczajném, a która w rezultacie cofnęłaby oświatę, cywilizacyę i dobrobyt narodów na czas bardzo długi.

Próbę téj strasznéj walki widzieliśmy wkoło Paryża i w Paryżu, w czasie któréj człowiek drżał cały, gdyż wiedział, że każdy strzał zniszczyć mógł życie człowieka i pomnik cywilizacyi, pamiątkę pracy ludzkiego ducha.

Prawodawcy pokażą się godnemi reprezentantami swego narodu, jeżeli tę najżywotniejszą obecnie dla ludzkości kwestyę tak roztrzygną, że stowarzyszenie międzynarodowców, stowarzyszenie robotników, które tylko rozległym spiskiem biednych przeciwko bogatym nazwać można, rozwiążą bez użycia broni, bez rozlewu krwi, bez łez i pożogi, bez więzienia i deportacyi, oraz bez pokrzywdzenia klasy posiadającéj, która jednak ze swojéj strony, jako mocniejsza obecnie, powinna być skłonną do poniesienia ofiar dla ogólnego dobra.

Prawodawcy naszego wieku mają wielkie zadanie; od nich zależeć będzie ustalić nowy porządek rzeczy, nowy stosunek między ludźmi na długie wieki. Zobaczymy może w krótkim czasie, jak się wywiążą z tego zadania. Pamię-

tać powinni, że wieki sądzić ich będą; że historya kiedyś o nich wyrzecze, i pokaże ich wielkość lub nieudolność; że ludzkość ich imiona wspominać będzie, albo z przekleństwem, albo z błogosławieństwem.

My jako Polacy mamy prawo być dumnemi z tego, że nasza prasa dotąd nie protegowała międzynarodowców, a jednak zawsze przemawiała za ulżeniem losu biednych robotników i klasy nieposiadającéj.

***

Pogadanki o przemyśle i przyrodzie.

Koleje żelazne i wypadki na nich.

Wiek nasz jest wielki przez swe wynalazki; nieskończony postęp prowadzi do owładnięcia materyi i siły — siły która tą materyą rządzi. Wynalażczy duch człowieka opuścił krainę niejasnych marzeń fałszywéj i bezpłodnéj metafizyki; uznał, że potęga jego rozciągać się winna na przedmioty istotnéj wartości i że nauki praktyczne udoskonalając się, prowadzą do zastósowań pożytecznych. Od chwili, w któréj praca inteligencyi weszła na drogę doświadczeń, każde badanie ukoronowaném było nagrodą niespodziewaną i wspaniałą.

Jeżeliby nasi przodkowie, spoczywający pod kamieniem grobowym, przebudzili się dzisiaj, nie chcieliby wierzyć, że zmartwychwstając wracają do świata, na którym niegdyś żyli. Podróż w ich czasach, podróż mil kilkunastu, bądź w dyliżansie bądź statkiem, była pełna niebezpieczeństw. Żegnano się godzinami całemi, westchnienia rodziców i krewnych towarzyszyły podróżnym, których tłomoki zaopatrywano w najrozmaitsze zapasy służące do pożywienia i potrzeb codziennego życia, a kiedy znak dano do odjazdu, oczy wszystkich łzami się zalewały. Znane są zapewne czytelnikom podróże Radziwiłła „Panie Kochanku“. Nie powiemy żeby one były parodyą zwykłych dawniéj podróży. Dziś nawet, czyście sami niewidzieli w naszéj Polsce, w okolicach więcéj oddalonych, gdzie drogi i koleje nie pokryły kraju siecią swoją, n. p. w Litwie, czyście nie widzieli pytamy, poczciwych mieszkańców, dla których odwiedzenie familii, oddalonéj o pięć lub sześć mil, jest wielką podróżą, mogącą się tylko powtarzać najwięcéj raz jeden do roku?

Łatwiéj dziś przejechać przestrzeń z Warszawy do Paryża, niż niegdyś z Warszawy do Poznania. Jeżeli kto dziś uczuje chęć oddania wizyty w Petersburgu lub Londynie, w ciągu jednéj doby życzeniu staje się zadość. Z Warszawy do Watykanu krok tylko jeden!

Ziemia pokrytą jest dzisiaj 120,000 kilometrów drogi żelaznéj. Suma bajeczna 30 miliardów fr. w nią jest włożona. Praktyka obaliła teoryę i rezultat zniweczył tchórzliwe obawy powstałe z początku. Przy pierwszych próbach pasące się bydło wraz z czczemi teoretykami, uciekało przed pędzącym po szynach pociągiem. Ale od lat czterdziestu idee do gruntu się zmieniły. Stada zwolna przywykły do iskrzącéj się lokomotywy, i dziś najdelikatniejszy system nerwowy śmiało stawia czoło nowożytnemu Pegazowi.



Lwów z kopcem Unii.

Jakkolwiek oskarżano drogi żelazne o przyczyny nieszczęśliwych wypadków i jakkolwiek widziano w nich „znak czasu“ (Antychrysta) przyznać musimy, że one są godne naszego uwielbienia i naszego zaufania. Największą zbrodnią, ciążącą na sumieniu kolei żelaznéj, jest pewna ilość śmierci nierozmyślnych. Statystyka francuzka wykazuje nam, że od r. 1835 do 1856 na 224,345,769 podróżnych, było 111 wypadków śmierci i 402 wypadków zranienia. Stosunek ten daje jedną śmierć na 2,021,133 podróżnych i jedno skaleczenie na 558,071. Bezwątpienia i ta cyfra nie jest pocieszająca, ale jeżeli zważymy liczbę podróżnych przewiezionych pocztami w tym samym czasie, to rezultat śmierci i skaleczeń będzie następujący: 20 śmierci i 238 rannych na 7,109,276 podróżnych, t. j. jedna śmierć na 355,453 i jeden ranny na 29,871. Z wykazu tego wynika, że jadąc koleją ośmnaście razy na mniejsze niebezpieczeństwo ranienia i pięć razy na mniejsze niebezpieczeństwo śmierci jest się narażonym, niż podróżu-

jąc pocztą. Statystyka angielska znacznie się różni od wyżéj wymienionéj.

W Anglii, w r. 1863 na przestrzeni 12,330 mil, 14 podróżnych było zabitych i 400 mniéj lub więcéj silnie rannych, z przyczyn niezależnych od ich woli; 21 zabitych i jeden ranny z własnéj winy. W r. 1864 na przestrzeni 12,789 mil, było zabitych 15 i 698 rannych. Z pierwszéj kategoryi, 21 zabitych i 3 rannych z drugiéj. W r. 1865 na przestrzeni 13,289, 23 zabitych, 1034 rannych z wypadku; 13 zabitych i 5 rannych z własnéj winy.

W ogóle w tych trzech latach zabitych: 107, rannych 2,146. Ale cyfry te przedstawiają tylko samych podróżnych, nieliczące urzędników kolejowych, których w ciągu trzech lat zabitych było 627, rannych zaś 2,397.

Z cyfr wskazanych czytelnik jasno widzi wyższość kolei żelaznych nad jazdę kołami — témbardziéj, że w owych cyfrach mieści się parę nadzwyczajnych wypadków, znacznie podwyższających śmiertelność. Jeżelibyśmy cyfry te odjęli, to na pięć milionów podróżnych, zaledwie śmierć jedna przypada.

Fakta te, przedstawione na korzyść kolei żelaznych, powinnyby zadowolnić wszystkich, ale zastanawiając się nad wypadkami i nad środkami, przeciw nim istniejącemi, nie niejedno do zarzucenia pozostaje.

Nie ma, być może, widoku więcéj bolesnego i więcéj wzruszającego jak widok nieszczęśliwych wypadków na kolejach żelaznych. Powodzie, pożary, rozbicie się okrętów nie dokonywaja zniszczenia tak szybko jak wypadki na drogach żelaznych. Dzienniki z Marca 1861 opisują wypadek na kolei żelaznéj z Kapui. Dwanaście osób zabitych było na miejscu, trzydzieści pokaleczonych z powodu że maszynista (niesłusznie oskarżany o stan nietrzeźwy) nie mógł, pomimo znaków dawanych przez robotników reperujących drogę, powstrzymać maszyny.

Tegoż roku sześć osób zabitych było na linii z Glascow i wielu urzędników na linii południowéj.

W katastrofie Manchesterskiéj, jedenaście osób w jednéj chwili strzaskanych zostało; sto raniono niebezpiecznie. Nie wspominamy tu o wypadkach częstych na pociągach towarowych, na których bydło transportują — nie tylko bydło ale maszyniści i podpalacze liczne mają ofiary — na co zdaje się kompanie uwagi zwracać nie chcą.

Nie chcemy tu kreślić martyrologii jazdy parowéj — dzienniki codzień podają smutne wypadki znane ogółowi; między innemi wypadek przed paru tygodniami około Bydgoszczy, ale musimy wyznać że dotąd w ich umniejszeniu nie widzimy postępu.

Bez zaprzeczenia dziwném jest, że przy dzisiejszéj łatwości podróży, że przy dzisiejszem zastosowaniu najpotężniejszéj siły do przemysłu, jedném słowem przy dzisiejszych zdobyczach inteligencyi, liczą jeszcze n. p. we Francyi na rok pięciu zabitych i około trzysta statków pochłoniętych przez Ocean.

Jakkolwiek cudownym jest wynalazek kolei żelaznych, nie należy jednakże uwielbiać go z zamkniętemi oczyma i usypiać w przekonaniu że wszystko jest doskonałe. Kiedyśmy zdobyli fakt najważniejszy, powinniśmy się starać uchronić od wypadków. Życie ludzkie jest zawsze coś warte. Nieszczęsne katastrofy zniszczyły nam niejedną nadzieję, złamały niejedną karjerę naukową, zrobiły wiele wdów i sierot, pochłonęły masę ofiar w obu światach.

Dokończmy podboju! Zarządom dróg żelaznych nie wolno jest patrzeć z obojętnością Jowisza Kapitolinskiego na masakry, które styl oficialny zowie **wypadkami**. Płacenie pieniędzmi za kości połamane i wynagradzanie familii poszkodowanych nie wystarcza. Podróżni nie są pakunkami, a życie ludzkie na brzęczącą monetę zamienić się nie da. Góry złota nieraz nie są w stanie zatrzeć zmarszczki powstałéj z łez wypłakanych, a w tajemniczéj naturze ludzkiéj kryją się pewne bole za które serce ani żąda ani przyjmuje wynadgrodzeń.

Czyż na to wszystko nie ma sposobu? czyż niepodobnem jest zażegnać niebezpieczeństwo będące w perspektywie przed nami i czyż nie ma środka, by życie podróżnego otoczyć pewnością?

Środków nie brak. Od lat kilku podano we Francyi do zbadania ze 20 wynalazków mających na celu bezpieczeństwo publiczne na drogach żelaznych.

Nie tu jest miejsce rozbierać wynalazki przeznaczone do powstrzymywania pociągów, mniéj lub więcéj szybko — rozbiór podobny znużyłby czytelnika, tém bardziéj że wszystkie te środki do siebie są podobne. Chodzi nam głównie o wykazanie, że kompanie dróg żelaznych mają w rękach materyał do wyboru bogaty i wypowiedzenie, że dziwnym jest ich upór i niechęć przeciw temu co umniejsza niebezpieczeństwo podróżnych.

One mogą odpowiedzieć, że najlepsze przyrządy są niepraktyczne i że ich zaprowadzenie pociąga za sobą koszta nadzwyczajne. Wyznać musimy, że pomiędzy poszukiwaczami kamienia filozoficznego, są niepraktyczni utopiści odgrażający się powstrzymać w jednéj chwili rozpędzony pociąg; ale jeżeli są egzaltowani, są též z drugiéj strony i rozsądni, którzy zastosowując naukę do przemysłu, pozostają w granicach praktycznéj mechaniki.

W jednéj chwili powstrzymać bez szkody rozpędzony pociąg, byłoby to oddać wielką usługę ludzkości. Ale wstrzymać nagle, równałoby się rzuceniu pociągu o mur z taką siłą, jaką jest on ożywiony. Dziękujemy za ten wynalazek!

Kawalerzysta, powstrzymujący nagle rozpędzonego konia, rzucony w tył siłą równą prędkości jazdy, spada na głowę.

Zatrzymanie pociągu towarowego, pędzącego z szybkością piędziesięciu kilometrów na godzinę, równałoby się uderzeniu odpowiadającemu upadkowi z wysokości 10 metrów. Podróżny doznałby równéj niespodzianki, jak spadający z trzeciego piętra. Ach! niech nas Bóg strzeże od takich przyrządów.

Pociąg osobowy wstrzymany nagle, równa się upadkowi z wysokości 14 do 15 metrów, czyli z wysokości czwartego piętra.

Cyfry te są dosyć wymowne — i jeżeli przyrząd, mający na celu powstrzymać nagle pociąg, jest takim, słusznie bardzo iż kompanie nim gardzą. Ale są przyrządy, które zadosyć czynią zadaniu postawionemu przez warunki bezpie-

czeństwa. Główne przyczyny wypadków są: spotkanie, zerwanie sprzęży, wykolejenie, pożary. Pomiędzy środkami zapobiegającymi tym wypadkom rozróżniają: przepisy ustanawiające punktualne odejście pociągu; sygnały wskazujące stan drogi; telegraf, którego niezrównana szybkość, zapobiegła już niejednemu wypadkowi i nakoniec przyrząd mechaniczny, umieszczony między wagonami.

Przyrządy te zastosowane do zwykłych pociągów, ażeby na bliską odległość powstrzymać potężnego olbrzyma, pchniętego niezrównaną siłą pary, nie są dostateczne. Chcąc wywołać na krótką odległość wstrzymanie, potrzeba połączyć wielką szybkość z wielką siłą, a natura przyrządu obecnie używanego wyklucza oba wyżéj wymienione warunki. Przyrządy te do usunięcia całego niebezpieczeństwa są niewystarczające; ale w każdym razie umniejszają je znacznie.

Rozbierzmy je teraz szczegółowo. Maszynista stojąc na lokomotywie, nagle spostrzega w odległości 500 metrów przeszkodę nie przebytą. Tą jest przypuśćmy pociąg towarowy, wstrzymany z powodu wypadku, albo przez nieuwagę kierownika biorący fałszywą drogę, lub w końcu inna, byle tylko nie do przebycia.

Cóż wtenczas robi maszynista? Wypuszcza parę, zwraca kierunek i gwizdem alarmującym ostrzega stróża przyrządu. Ten ostatni stojący na tyle pociągu, wystawiony na wszystkie zmiany powietrza, kurcząc się w swojéj budce, łatwo może nieusłyszeć na razie sygnału, i zkądinąd może nie widzieć powodu niebezpieczeństwa. Przypuśćmy jednak że wszystko robi co może — to i w takim wypadku usiłowania jego nie na wiele się przydadzą — gdyż traci się czas na danie sygnału — jak również chwil kilka minie nim sygnał dojdzie do uszu stróża i nim on do pracy się zabierze.

Jeżeli więc weźmiemy na uwagę, że każda sekunda równa się 20 metrom, i że w pół minuty pociąg przebiega 600 metrów, i jeżeli do tego dodamy, że po wstrzymaniu wagony jeszcze szybkością poprzednio zdobytą ślizgają się po szynach na rozciągłości 300 metrów, łatwo każdy zrozumie, że pospieszny pociąg zupełnie wstrzymany być może zaledwie na odległości jednego kilometra, co zresztą przy kilku wypadkach sądownie potwierdzono.

Katastrofa jest wtenczas okropna — nieunikniona. Maszynista wie o niéj i w ostatniéj chwili wyskakuje na ziemię. Pociągi się spotykają — wagony druzgoczą wchodząc jedne na drugie. Wkrótce potém następuje rozdzierająca scena: trupy leżą bezwładne wśród połamanego drzewa; ranni u których pozostał jeszcze cień życia, wiją się w torturach a pomoc żadna dana im być nie może.

Z punktu materyalnego wypadek podobny naraża kompanię na stokroć większe straty, niż najdroższe zaprowadzenie przyrządów powstrzymujących.

Czy kompanie wynajdą i zdecydują się na zaprowadzenie praktycznego przyrządu, czy starać się będą niepowiększać statystyki smutnych wypadków, które rzucają cień na jeden z najwspanialszych wynalazków epoki współczesnéj? nie wiemy, ale dodamy: Szukajcie a znajdziecie!

PIOSENKA JESIENNA.

Czemuś tęskne serce moje
Jak jesienny, mglisty dzień,
Zkąd te w duszy niepokoje
I ten smutku cień?

Czy żałoba w wiatru świście
Albo w plusku rzeki fal?
Czy gdy stopa w zwiędłe liście
Trąca wiosny żal?

Czy ci tęskny głos powiada:
Wróci wiosna z krasą róż;
Ale co raz w grób zapada,
To nie wraca już!

Czy to troska ci serdeczna
Rwie głos z piersi: tam, ach tam!
A rozdziału klątwa wieczna
Nad głowami wam!

Czy ty matkę przypomniałeś
Poglądając w mglisty wschód,
Nim ją ujrzę, zawołałeś,
Z tęsknot umrę wprzód!

O zamilknij! patrz jak łono
Rozpierane bólem drży,
Patrz jak mglistą wzrok oponą
Przesłoniły łzy!

K. Brzozowski.

PRZYCZYNKI DO WSPOMNIEŃ EWUNI

czyli

ADAM MICKIEWICZ WE WŁOSZECH.

(Dokończenie.)

Podróż ta trwała całe trzy tygodnie, od 14 Sierpnia do 4 Września 1830 roku, a ja przy samém jéj zaczęciu o małom się nie utopił w Lemanie i to wprost z łaski Ewuni. Mówię téż tu o tém dla tego, że to ma związek z jéj sprawą i że ją w pewnym względzie rozjaśnia. Ze Zwierzeń Ewuni wiadomo, że państwo ***, opuściwszy

Rzym z zamiarem wracania do kraju, w drodze zmienili projekt i udali się do Paryża. Zawiadomiony o tém Mickiewicz, prosił o napisanie ztamtąd poste restante do Genewy, i zaledwośmy tam przybyli, wyprawił mnie po list na pocztę. Tymczasem listu nie było, a zaszłe w końcu Lipca wypadki w Paryżu, tak wzmogły jego niepokój o los rodziny państwa ***, że to wyraźnie oddziałało na zdrowie i opóźniło najmniéj o tydzień wyprawę naszą w góry. Codzień po dwakroć na przemian dowiadywaliśmy się na pocztę i zawsze równie napróżno. W sam dzień wyjazdu Adam poszedł raz jeszcze, zostawiwszy mnie z rzeczami na statku parowym, na którym mieliśmy płynąć do Vevay. Zajęty zdaniem tych rzeczy, nie dostrzegłem jak wrócił i zszedł do kajuty. Tymczasem zadzwonio raz pierwszy i drugi. Nie wiedząc co mam począć, czy iść go szukać, czy odpłynąć bez niego, machinalnie wybiegłem na brzeg. Wtém zadzwoniono raz trzeci i w téjże chwili Adam wyszedłszy z kajuty ukazał się na pokładzie. Był blady i zmieniony okropnie; zgadłem że listu nie było. Chciałem wracać — ale już statek poruszać się zaczął, i co gorsza ściągnięto deski, które go zbrzegiem łączyły. Szczęściem Zygmunt znał kapitana, który na prośbę jego kazał zwiesić z pokładu jakieś drewniane wschodki, czy drabinkę, na które ja wprost z mostku przybrzeżnego skoczyłem, i za pomocą podanéj mi ręki Zygmunta i jego kamerdynera Jana, szczęśliwie dostałem się na pokład. Ale dość się było uśliznąć, aby wpaść do jeziora, pod statek.

Pozostają mi jeszcze do sprostowania dwie rzeczy, o tualecie i zegarku Adama. Ze słów szanownéj autorki Zwierzeń, czytelnik mógłby mylnie wnioskować, że się Mickiewicz elegantował dla przypodobania Ewuni, albo że kazał wyryć swój herb na zegarku, dla zaimponowania hrabiemu. Oto są owe słowa:

„Ewunia spostrzegła wielką zmianę w jego powierzchowności. Dotąd zaniedbany cokolwiek w ubraniu, teraz nadzwyczaj był staranny, prawie wytworny. W Genewie, kraju zegarmistrzów, kupił piękny zegarek; kazał na nim wyryć herb Poraj, ozdobiony mitrą książęcą. (Mickiewicze mają mitrę w swym herbie). Oglądali wszyscy ten zegarek, oglądał i hrabia. Może być, że Adam chciał tym sposobem przypomnieć, że Poraj ma prawo stanąć w parze z Habdankiem.“ (Herb państwa ***.)

Otóż mam za obowiązek oświadczyć, że w tych słowach jest razem i najzupełniejsza prawda, i największa nieprawda; prawda co do samych faktów, nieprawda, co do ich znaczenia. A oto jak się rzecz miała.

Adam przez całą pierwszą zimę w Rzymie chodził w tém samém ubraniu, które przywiózł z sobą z Petersburga. Było ono porządne i czyste, ale nakoniec ku wiośnie zaczęło potrzebować odmiany. Adam chciał to uskutecznić zaraz w Neapolu, gdzie się finanse jego zapomogły znacznie. Odwiodłem go od tego argumentując logicznie: naprzód, że nowe odzienie nie jest potrzebne do podróży po górach szwajcarskich latem; powtóre, że sukna francuzkie lepsze są od włoskich, i nakoniec potrzecie, że po rozstaniu się ze mną w Genewie, będzie dość miejsca w tłómoku na pomieszczenie téj nowy odzieży, na którąby teraz trzeba było nowy tłómok kupować i transport jego w dyliżansach opłacać. Za przybyciem więc naszém do Genewy, p. Symon Klustin, dobry nasz znajomy, a przytém sam wielki elegant, zajął się tym sprawunkiem Adama, podobnie jak siostra jego, panna Anastazya (późniejsza hrabina Circourt), przyjaciółka i korespondentka wszystkich najznakomitszych podówczas w Europie poetów, artystów i uczonych, zwana przez nich dziesiątą muzą, a szczera wielbicielka Adama, zajęła się wyborem zegarka u znajomego sobie zegarmistrza. Ale to wszystko było wtedy, kiedy się nam jeszcze ani śniło o spotkaniu się z państwem *** w Genewie. List saméj pani hrabiny, donoszący o tém Adamowi, otrzymał on dopiero w Lucernie, gdzie mu go panna Anastazya odesłała z Genewy, a w ślad za tém sama do Bernu o nastąpioném już przybyciu państwa *** doniosła. Rzecz zatém bardzo naturalna, że Ewunia za pierwszém spotkaniem mogła być uderzona tą zmianą w tualecie Adama, a jest to już podobno w naturze wszystkich na świecie panienek, że wszystko w wielbicielach swoich lubią odnosić i stósować wyłącznie do siebie. Co zaś do herbu, ten, zamiast cyfry, doradziła panna Anastazya, a wyryty on został podług staréj pieczątki, którą Adam miał jako pamiątkę po ojcu i która sama zapewne musiała być podług herbarza. Że mitra mogła zwrócić czyjąś uwagę, nie idzie zatém, ażeby sam Poraj przywiązywał do niéj jakie znaczenie, tém bardziéj, że mitry podobne (nie książęce państwa rzymskiego, ale kniaziowskie), mają herby wielu bardzo rodzin litewskich.

A teraz skończywszy sprostowania, które miałem sobie za obowiązek, pozwolisz panie redaktorze, że dołączę tu jeszcze krótki dodatek, to jest, opowiedzenie faktu, mającego związek z poprzedniém, a który nie będzie zapewne bez interesu dla przyjaciół i wielbicieli autora Irydyona. Świadkiem, a raczéj współbohaterem jego, był mieszkający obecnie w Warszawie pan hr. August Zamoyski, przyjaciel i kolega ówczesny Zygmunta Krasińskiego w Genewie. Wpływ téj wzajemnéj przyjaźni, miarkując w wielu razach zbytni polot poetycznéj fantazyi Zygmunta, nie mniéj téż często przyjaciela jego do udziału w jéj pomysłach pociągał. Otóż Zygmunt K. na uczczenie państwa ***, w których domu wraz z nami był codziennym gościem, na kilka dni przed ich odjazdem z Genewy, umyślił wyprawić dla nich fajerwerk na jeziorze. Było to dnia 3 Października 1830 r. w Niedzielę. Czas był prześliczny, błękit nieba bez chmury, księżyc świecił w pełnéj pogodzie, jezioro było ciche i gładkie jak zwierciadło. Towarzystwo złożone z około dwudziestu osób, dam i mężczyzn, w dwóch dużych barkach, z przywiązaną do jednéj z nich własną łódką Zygmunta K., mieszczącą w sobie fajerwerki, odbyło naprzód dość długą przejażdżkę po jeziorze; po czém dwaj młodzi przyjaciele, przesiadłszy się do owéj łódki, odpłynęli na pewną odległość i rozpoczęli spektakl. Kilka rac wyleciało wspaniale; kilka świec rzymskich z gwiazdami dopaliło się szczęśliwie do końca; aż nareszcie fatalny młynek zatrząsł iskrę do środka łódki i zapalił złożoną w niéj na dnie resztę pyrotechnicznych przyrządów. Szczęściem nie wszystkie zajęły się od razu, a masa fajerwerkowa paliła się bez gwałtownych wybuchów. Zawsze jednak płomień i iskry bu-

chały kłębami z dna łódki, a na ich tle, obaj nieustraszeni bohaterowie téj sceny, podskakując co chwila do góry, porywali gołemi rękoma i wyrzucali do wody zatlone już race i świece, przyczém wkrótce pan August musiał także rzucić na wodę zwierzchnie swoje ubranie, które na nim palić się zaczęło. Między fajewerkami był burak, to jest, puszka z blachy żelaznéj, zawierająca szmermele, mające tworzyć przy końcu tak zwany bukiet, koronę widowiska. Gdyby ogień dosiągł buraka, wybuch jego rozsadziłby łódkę. Wiedząc o tém i ja i Adam, nim barki ku niéj zdołały dopłynąć, wołaliśmy co siły z daleka: „burak! burak!“ Pan August z blizka powtarzał toż samo, radząc co prędzéj wrzucić go do wody. Ale pan Zygmunt o tém ani słyszeć nie chciał. Okrył go tylko swojém zwierzchniem odzieniem, a połączonym usiłowaniom obu młodych przyjaciół udało się nakoniec, jakkolwiek z popaleniem rąk i odzieży, nim barki na pomoc zdążyły, powyrzucać do wody wszystkie sztuki ogniem zajęte. Burak tylko pozostał nietknięty. Wszystkie damy błagalnym chórem, wszyscy starsi poważną radą, starali się zapobiedz wypuszczeniu jego; ale wszystko było napróżno. Łódka odbiegła szybko od natrętnych doradzców; a świetny i płomienisty wulkan gwiazd i szmermelów, uwieńczył powodzeniem niefortunną z razu przygodę. „Finis coronat opus!“ Temi słowy tryumfujący p. Zygmunt powitał uspokojonych widzów, którzy ich obu jeżeli nie laurem, to przynajmniéj szalami i płaszczami okryli.

P. S. Na żądanie przebywającéj obecnie w Warszawie córki Adama Mickiewicza, pani Maryi Goreckiéj, dodaję tu jeszcze jedno sprostowanie, z powodu wzmianki w Zwierzeniach Ewuni o małżeństwie jéj rodziców, będącéj mniéj więcéj powtórzeniem innych téż o tém wspomnień i relacyi, ogłoszonych gdzieindziéj. We wszystkich ziarnko rzeczywistéj prawdy tak jest przysypane błędnemi szczegółami, że przez to i cała rzecz sama w mylném przedstawia się świetle. Zamiast więc prostować je pojedyńczo, opowiadam jak było w istocie.

P. Franciszek Malewski, nie znajomy tylko oddawna Adama, ale jeden z jego najbliższych od młodości przyjaciół; któremu on, między innymi, poświęcił pierwsze poezye swoje; który był nieodstępnym jego towarzyszem i współmieszkańcem w Odesie, Moskwie i Petersburgu; p. Franciszek Malewski, po śmierci pani Maryi Szymanowskiéj, ożenił się w Petersburgu ze starszą jéj córką Heleną. Po urodzeniu się pierwszego dziecka, rodzice zaprosili Adama aby je trzymał do chrztu, przez prokuracyą, w parze z panną Celiną. Zastępcą jego był dawny kolega uniwersytetu pan Stanisław Morawski. On to — nie sam Malewski, który za życia Adama nigdy w Paryżu nie był i po rozstaniu się w Petersburgu w r. 1829, już się z nim więcéj nie widział; on to przybywszy do Paryża w końcu roku 1833 i opowiadając Adamowi o tym obrzędzie, powiedział rzeczywiście, „że mu podczas niego przychodziło na myśl, jakby to było dobrze, żeby sam Adam kiedyś stanął przed ołtarz w parze z piękną swoją kumą.“ Mickiewicz rzeczywiście odpowiedział mu na to z uśmiechem: „Ha! gdyby tutaj była, to kto wie?“ Słowa te p. Morawski, za powrotem do Petersburga, powtórzył rzeczywiście państwu Malewskim i oni rzeczywiście przesłali je siostrze, która już wtedy mieszkała przy krewnych swoich w Warszawie. Ale panna Celina odebrała je dopiero i właśnie wtenczas, kiedy już z innych powodów była prawie na wyjezdném w podróż do Paryża. Towarzyszyła w niéj bowiem krewnéj swojéj, pani Guerin, udającéj się tamże w interesach własnych. Nie wskutek więc tych słów Adama „wyprawiono Celinę do Paryża“, jak się szanowna autorka Zwierzeń Ewuni wyraża, ani téż nikt téj rzeczy z góry „nie ukartował w kraju“, jak mówi p. L. Siemieński w życiorysie Adama, a coś i ty sam, szanowny redaktorze, we wstępie do Merzbachowskiéj edycyi dzieł jego powtórzył. P. Siemieński zaraz wprawdzie dodaje: „że śmierć i żona, od Boga przeznaczona.“ Ale jeśliż w tym razie sam zbieg okoliczności usprawiedliwia niejako to przysłowie; to czyliż w samym tym zbiegu nie należy dopatrzyć raczéj wskazówki woli Opatrzności, niż tylko skutku rachub czy układów ludzkich? Wiem to wszystko z ust samego p. Stanisława Morawskiego, który był w Dreźnie wracając z Paryża i z ust saméj panny Celiny, która téż przez dni kilka w tém mieście, razem z krewną, w przejeździe do Paryża bawiła. Przybyła zaś tam przez Wrocław, nie wstępując bynajmniéj do Krakowa. Jakie mogła mieć w sercu tajemne nadzieje, może nawet z powodu owych słów Adama; o tém nie wiedział i nie mógł wiedzieć nikt, prócz chyba, komu je sama chciała przez przyjaźń powierzyć. Ja pierwszy zawiadomiłem listem Adama o blizkim jéj przejeździe z Drezna, o czém przedtém zgoła nie wiedział; a w ogłoszonych drukiem listach jego do mnie, znajdują się dalsze szczegóły o zawarciu małżeństwa, które nie pierwéj, nie z góry, lecz się dopiero ułożyło w Paryżu. Tu jeszcze i to dodać należy, że Adam wyjeżdżając z Petersburga w roku 1829 nie zostawił panny Celiny ani „dzieckiem“, ani „dziewczątkiem“, ale już siedmnastoletnią i rzeczywiście „prześliczną“, (jak mówi p. Siemieński) panienką. W pierwszych moich „Listach z Podróży“, pisanych z Petersburga do Juliana Korsaka, znajduje się opisanie ostatniego wieczoru, który Adam z nią przed wyjazdem w domu jéj matki przepędził. (Kronika Rodzinna, Rok pierwszy, Nr. 6.)

A. E. O.

Z WYCIECZKI DO LWOWA.

(Z ryciną.)

„A czy znasz ty bracie młody,
„Twoje ziemie, twoje wody
„Z czego słyną, kędy giną,
„W jakim kraju i Dunaju i t. d.

(Pieśń o ziemi naszéj.)

Gazety codzienne opisały już Wam, kochani czytelnicy, wszystkie chwile zjazdu Lwowskiego — gdyby więc dziś Sobótka chciała powtórzyć to, o czém już świat cały wie dawno, musiałaby się narazić na nazwisko nudnéj, z czego jéj przyjaciele nie omieszkaliby korzystać. Ale kto wie, czy grzebiąc w tych okruchach, nie natrafimy jeszcze na kilka pereł zapomnianych, które dla Was czytelnicy, urok świeżości i powabu mieć będą.

„Czy poznajecie mnie?“ „Nie“ — „nie dziwię się, bośmy się lat pięćset nie widzieli.“

Tak rozpoczął swą mowę przy obiedzie we Lwowie, jeden z prostych i serdecznych gości szląskich. To co ów Szlązak powiedział, dałoby się zastósować, w mniejszym zakresie czasu i do nas, bo i u nas blisko stuletnie rozłączenie, zatarło w pamięci twarze rodzonych braci, tak iż się zdarza, że zaledwie przy bliższem zetknięciu się, przypominamy sobie, żeśmy dziećmi jednéj matki.

Dla większéj części biorących udział w wycieczce wszystko spotkane było nowem. Stary dziaduś Wawel, w białéj sukmanie Krakus, olbrzymie Karpaty, marzący Rusin i hoża halicka stolica, słowem ludzie i ich prace, co moment wyrywały z wezbranéj uczuciem piersi, wykrzykniki podziwu, uwielbienia, radości i często łzy bolu...

Tak! mówimy łzy bolu, bo szczęście nigdy, a témbardziéj u nas pełne nie jest. Po długiéj, przymusowéj rozłące, cieszyliśmy się jak dzieci, czując na chwilę dłoń bratnią w dłoni naszéj, ale kiedy po pierwszych uściskach, przyszła koléj na wzajemne zwierzenia, na wzajemne opowiadania doli swojéj, na odkrywanie ran bolesnych, twarze przybrały ponury wyraz i nie w jednem oku łza się zakręciła.

Płakano z żalu, płakano i z radości. Na podwieczorku danym w Krakowie dla gości Wielkopolskich, obok opisującego Wam wrażenia z podróży, wsparta na ręku narzeczonego, stała z matką 18 letnia blondynka o czarnych oczkach i słodkim wyrazie twarzy. Była to, jak się później dowiedzieliśmy, rodzina z Królestwa Polskiego, jadąca do jednych z wód galicyjskich.

Jak zwykle przy uroczystościach tego rodzaju, mowa szła za mową — w każdéj z nich poruszano drogie wspomnienia i prorokowano złotą przyszłość. W przerwach muzyka przygrywała narodowe śpiewy. Wspomniane wyżéj dziewczę z chciwością malującą się na niewinnéj twarzyczce, chwytała wyraz każdy i nutę każdą — jakieś nie ujęte w słowo, połączenie radości i smutku z oczu jéj patrzało. A kiedy muzyka zagrzmiała hymn, „Jeszcze Polska nie zginęła“ o którym być może dotąd tylko z tajemniczych na uszko szeptów słyszała, — biedne dziewcze głośnym wybuchło płaczem. Uczucie wezbrane nie miało już zapory i ani uwagi matki, ani persfazye narzeczonego nie pomogły...... ogród opuścić musiano!

I stanęła nam przed oczyma stuletnia historya naszego narodu i niczém nie wyczerpane jego źródło miłości ojczyzny. Po stuletnich klęskach i nędzy, zasiądź, mówi filozof, w gronie zsiwiałych starców i opowiadaj im dzieje przeszłości, tryumfy i klęski nasze, a oko omdlałe blaskiem życia, jak konająca lampa raz jeszcze zajaśnieje i łza gorąca po zmarszczkach twarzy się stoczy. W łzy rzewne się rozpłynie, na wspomnienie ojczyzny, wezbrane uczucie kobiety, i z ramion kochanka owisłe ręce opadną, załamie je dziewicza i okiem niebieskiem Magdaleny Tysiewicza, pojrzy w górę, i tam u królowéj nieba błagać będzie ratunku i pociechy.

* * *

„Na Wawel, na Wawel
„Krakowiaku śmiały,
„Podumaj, potęsknij,
„Nad pomnikiem chwały.

Mijamy Krzeszowice i Tenczyn — olbrzymy karpackie rysują się w oddali. Za chwil kilka konduktor zawoła: Kraków!

Kraków! tyle w nim łez radości i bólu płynęło, tyle gromów dotknęło to wielkie niegdyś serce narodu, tyle w niem się nieszczęść ojczyzny zbiegło, że z pomarszczonych murów, z omszałych siedmdziesięciu krzyżów kościelnych, uderza cię dziwny smutek i powaga. Wszystkie szczęścia i nieszczęścia, wszystkie kule które po niwach Rzeczypospolitéj orały, odbijały się o pancerz Jagiellonowego grodu. Skarbnica świętości dziejowych, Mekka i Medyna Bolesławoskiego dzieła, dziś tylko jaśnieje potęgą dawnych wspomnień i z pod niewolniczego łachmana, z pod odartych z szaty monarszéj murów uderza królewska powaga przeszłości.

Mówią, że Krakowianie przyjęli nas zimno — nieprzeczymy — ale kto wie, czy chłód katakumbowy niewłaściwszy jest krakusowemu gradowi, niż skoczność bulwarów paryskich i wesołe pląsy Lwowian. Poważny i z takiéj jak Wawel godności z detronizowany staruszek, byle czego śmiać się i skakać nie może. Wróćcie mu dawne znaczenie i świetność, a kto wie, czy dawne siły i humor nie wrócą. Kiedyż to o Boże!?...

Oto przyglądający się w wodach Wisły stary Wawel z grobami królów twoich, z relikwiami św. Stanisława, jedyny może, w granicach kościoła, oparł się zniszczeniu ośmiowiekowego czasu i ludzi, mało straciwszy z dawnéj świetności.

Tu znowu Alma mater, Sukiennice, kościół Panny Maryi ze strzelającą w obłoki, złocistą, marjacką wieżą, z promienistym ołtarzem, który sławę sztuki polskiéj na świat cały rozniósł... Patrz daléj... oto Bielany, Łobzów, miejsce miłosnych spowiedzi Kazimierza W. i pięknéj Estery — mogiła Wandy, Krakusa i Kościuszki, rozpamiętywające dzieje swych bohaterów.

Ach! jeśliś zwątpił, pod brzemieniem nieszczęścia w przyszłość Twego narodu, jeśli z przeszłości chcesz dla przyszłości siły zaczerpnąć, idź do Krakowa i pytaj o historyę każdéj stopy, po któréj stąpać będziesz. Kefalides w opisaniu podróży swojéj do Włoszech opowiada, że gdy go przewodnik po górach Styryi oprowadzał i pomiędzy szczelinami skał pokazał mu widok na rozległą równinę, dziką, kamienistą, otoczoną łomami skał, wskazując na ten obszar rozległy, zawołał z uniesieniem: „to ojczyzna moja!“ i we wzroku jego malowała się duma narodowa, takie zadowolnienie, jak gdyby mu jakie Eldorado pokazał.

„Pour les coeurs bien nés, que la patrie est chère!“ Dla serc szlachetnych jakże ojczyzna jest drogą, a stokroć droższe to jéj serce, w którem przez ośm wieków cała krew narodu się zbiegała.

* * *

„Co kraj, to obyczaj,
„Szto horod, to norow,
„Kolgo kragow, kolgo obicagi.

(Przysłowia słowiańskie).

Po dwunasto-godzinnéj podróży stanęliśmy we Lwowie. Co za różnica z Krakowem! Tam ponuro i głucho, tu wesoło i gwarno — tam mury pleśnią porosły, tu pałace jaśnieją, jak strojne na bal białogłowy — tam milczeniem witają gości, tu głos i dłonie rwą się do nich.

Miasto Lwów położone w kotlinie nad rzeczką Pełtwią, powstało około r. 1268. Panujący podówczas na Rusi Czerwonéj Lew Daniłowicz, książę halicki, zbudował na wysokiéj, okolonéj nieprzystępnemi bagnami i wodami Pełtwi, a gęstym lasem porosłéj górze, gdzie dziś kopiec Unii Lubelskiéj sypią, drewniany zamek, a właściwie kryjówkę przed Tatarami.

Lwów po zdobyciu Rusi Czerwonéj od r. 1339 podniósł się do znacznego dobrobytu, do którego niemało się przyczyniali królowie polscy nadawaniem miastu osobnych praw i przywilejów, przez co na równi z innemi większemi miastami w Polsce, szczególnie z Krakowem i Warszawą postawiony został. Jakie zaś było znaczenie miasta w stosunku do Rzeczypospolitéj polskiéj, poznać można z tego, że w przywileju z r. 1689 nazwano je: Ornamentum monumentumque primarium Russiae ore totius regni; a w paktach konwentach króla Augusta II wspomniano o nim jako o ostatniéj zasłonie i przedmurzu (antermurale) krajów i całego chrześciaństwa (et totius christianitatis).

Ale zaszczytne to miano Lwów drogo opłacać musiał, bowiem mało jest miast polskich, którychby historya tak była obfitą w krew i pożogi jak Lwowa. Począwszy od Olgierda i Kiejstuta a skończywszy na Wołochach, Szwedach, Turkach i Tatarach, którzy to ostatni nieledwie rok rocznie zagony swe na Ruś zapuszczali, Lwów wszystkich odpierać był zmuszony.

Od czasów wojny Bogdana Chmielnickiego i oblężenia przez Turków w r. 1672 dobrobyt miasta upadać zaczął. Oprócz ciągłych najazdów i oblężeń doznał Lwów jeszcze wiele innych nieszczęść. Do tych należą wylewy Pełtwi i pożary, tak, że w ostatnich czasach zupełnie znikła dawna świetność i bogactwo.

W tym stanie w roku 1772 po ustąpieniu załogi moskiewskiéj zajęły wojska austryackie, zaciągnąwszy kordon graniczny, miasto, a urzędnicy austryaccy obwieścili uniwersałem cesarskim przyłączenie téj części Polski, którą nazwano Galicyą, do państwa austryackiego; i odtąd Lwów został stolicą téj prowincyi.

Smutne, porozbiorowe dzieje Galicyi i Lwowa wszystkim są znane. Żadna z polskich prowincyi nie przechodziła równie demoralizujących i upadlających kolei jak Galicya. Dawny system despotyczny, oparty na fałszu, więzieniach i tak zwanéj kulturze niemieckiéj i dziś jeszcze pomimo pewnéj swobody, owoce wydaje. Lwów, mając dziś samorząd, dotąd nie uporządkował się tak jak to na stolicę pięciomilionowéj ludności przystało.

Po większéj części budowle Lwowa mają na sobie cechę nowożytną; ciągłe wojny, oblężenia i pożary nie pozwoliły mu przechować architektonicznych zabytków z niepodległéj przeszłości. Ogólna fizognomia miasta ma właściwą sobie oryginalność, któréj w innych miastach polskich się nie spotyka. Przebija się w niéj już nieco wschodniego gustu, co przedewszystkiem z kilku wież w stylu mięszanym ormiańsko-bizantyńskim, widza uderza. Ulice główniejsze mają budowle nowe, piękne, okazałe, powiększéj części z kamienia ciosowego murowane, na sposób wiedeński. Wpływ ten Wiednia i w innych urządzeniach się przebija, mianowicie w magazynach, we wspaniałych cukierniach, w dorożkach i w sposobie brukowania ulic. Brak nam miejsca na wyliczenie wielu godnych uwagi kościołów i w nich arcydzieł malowidła i rzeźby. Z pomiędzy wszystkich uderza każdego pięknością położenia, osławiony knowaniami moskiewskiemi k l a s z t o r O O. B a z y l i a n ó w z c e r k w i ą ś w. J u r a, w stylu włoskim w kształcie krzyża z Rotundą w pośrodku. W wielkim ołtarzu wspaniałéj na zewnątrz budowy, jest prześliczny obraz Jezusa lud nauczającego, pędzla Smuglewicza.

Do najwspanialszych budowli Lwowa należy T e a t r w gmachu hrabiego Stanisława Skarbka. W olbrzymim gmachu trzypiętrowym mieści się prócz lokalności dla sceny polskiéj i niemieckiéj, sala redutowa, w któréj odbywają się posiedzenia jedynéj samoistnéj reprezentacyi polskiéj, na całym Polski obszarze, czyli Sejm Galicyjski. Daléj jest tam kasyno obywatelskie i urządzona w tym roku pysznie kawiarnia i cukiernia; nie mniéj wiele bardzo sklepów i składów.

Do godnych uwagi gmachów, należy „Zakład narodowy imienia Ossolińskich. Celem jego jest gromadzić księgi, zabytki archeologiczne i sztuki na użytek publiczny i celem przekazania potomności. W tymże gmachu mieści się doroczna wystawa obrazów, którą Wielkopolanie biorący udział w wycieczce wspólnie zwiedzili.

Do właściwości Lwowa należą jeszcze liczne i piękne ogrody; parę z nich prócz obszarem odznaczają się jeszcze staremi drzewami i cieniem z jakim się nie łatwo spotyka. Patrząc z góry na miasto, ta zieleń nadaje mu wesoły i ujmujący wyraz.

W ogóle Lwów, tak ze względu położenia jak i zabudowania, należy do najpiękniejszych miast w Polsce i bez zaprzeczenia po Warszawie na pierwszém miejscu stoi. Żywa i ruchliwa ludność, powstające obecnie ze swobodą instytucye, handel ożywiony i sam ogrom zabudowań, dotykalnie przemawia już z saméj powierzchowności, że to miasto przeszło granice prowincyalnego znaczenia; chociaż z drugiéj strony w więcéj oddalonych ulicach, parafiański nieporządek, zdradza parweniuszowskie pochodzenie.

Lwów liczy 3,381 domów i z niestałą ludnością do 100,000 mieszkańców. Według wyznań obrządku łacińskiego jest 46,252, obrządku greckiego 12,406, ormiańsko-katolickiego 138, szyzmatyckiego 212, ormiańsko-szyzmatyckiego 1, luterskiego 1346, kalwińskiego 40, żydów 26,697 i 20 innego wyznania.

Podług zatrudnienia dzieli się ludność lwowska na 382 duchownych, 360 literatów i artystów, 45 adwokatów, 6 notaryuszy, 59 innych prawników, 227 lekarzy, chirurgów i akuszerek, 49 posiadaczy gruntów, 1410 posiadaczy realności, 3010 fabrykantów i rzemieślników, 3710 pomocników rzemieślniczych, 1342 kupców i handlarzy, 1613 pomocników handlu, 4176 sług, 2146 najemników i zarobników, 38,772 kobiet i dzieci.

Pogląd, któryśmy czytelnikom na miasto Lwów dali, jest bardzo powierzchowny. O punkcie, gdzie się życie pięciu milionów zbiega, gdzie ludność mając od lat kilku rozwiązane ręce, do pracy w rozmaitych kierunkach się rzuca, dałoby się stokroć więcéj powiedzieć; — ale konieczność zmusza nas na tych kilku słowach poprzestać.

* * *

„Czy chcecie, czy nie chcecie,
„Czem kazał Bóg — będziecie.
Kornel Ujejski

„Co Bóg złączył, tego żadna siła ludzka nie rozłączy.“

Kiedy już czytelniku poznałeś się z twarzą miasta, poprowadzę cię teraz na górę gdzie się buduje widoma arka naszego przymierza narodowego, gdzie przez cztery wieki w imię tegoż przymierza trójcy jak boska nierozdzielnéj, przelewała się krew Polski, Litwy i Rusi. Tam, u szczytu stoją do dziś dnia jeszcze ruiny tak zwanego „Z a m k u W y s o k i e g o,“ z kąd odpierano żarłocznych tygrysów, pragnących rozszarpać to, co Bóg w jedno ciało połączył.

Znaną jest Wam zapewne t. z. k w e s t y a r u s i ń s k a, która jak rak zjadliwy toczy sprawy braci naszych z nad Pełtwi i Sanu. Ach, jakiż to straszny obłęd i co za dziwna ironia losu! Rządy poprzednie Austryi siłą przekupstwa stworzyły nie powiemy partyę, ale zdrajców ojczyzny plujących na własną matkę i wołających: „Polska to macocha!“ Korzyści z tego upadku kilkunastu zdrajców, podłością potężnych, nie Austrya lecz Moskwa zbiera. Ona to dzisiaj sieje w domu naszym między siostrami niezgodę, w ciska się do literatury, do sejmu, do towarzystw, słowem tam wszędzie, gdzie się nasz gmach spółeczny i polityczny buduje. Czy sądzicie jednak, że naród w téj zdradzie udział bierze? Rozmawialiśmy z ludźmi znającymi stósunki Galicyi, zwiedzaliśmy części miasta zamieszkałe li tylko przez Rusinów i przyszliśmy do przekonania, że lud to polski i że kwestya rozdarcia jedności, podziału na Polaków i Rusinów, żyje tylko u przekupionych kilkunastu księży unickich. Bo i nie może być inaczéj. Przeszłość jedna, teraźniéjszość jedna, a więc i przyszłość jedna być musi. Mówią, że się językiem różnimy. Przeczylibyśmy i temu nawet. Stokroć więcéj platt deutsch niemiecki i patois francuzkie różnią się od języka wykształconego niemieckiego i francuskiego, niż narzecze rusinskie od polskiego, a któż nie uważa w Niemczech Pomorczyka za Niemca, Pikardczyka we Francyi za Francuza? Każdy z nas Wielkopolanie zrozumie dobrze mowę Rusina z nad brzegów Sanu — łatwiéj nawet niż Nadreńczyk mieszkańca z nad Pregli.

Ale dowodzić jedności naszéj, byłoby to ubliżyć prawdzie — byłoby to wyrządzić równą krzywdę Rusinom, jakby się wyrządziło Krakusowi z pod Wawelu, nazywając go nie bratem téj ziemi, która, jak się pięknie Ujejski wyraził, wydała Orłów białych.

Otóż to na ziemi i na tém miejscu gdzie przez tyle wieków krwawo broniono jedności politycznéj i narodowéj, gdzie szablą wypisano najwięcéj kart z historyi naszéj i gdzie dziś brat się wyrzeka brata, wzniesiono pomnik U n i i nieśmiertelnéj, Unii z narodem różnym pochodzeniem, religią, językiem i częścią swéj przeszłości, Unii wiecznéj P o l s k i i L i t w y. Czytelnicy! dreszcz nas przejmuje, przyglądając się dziwnym kolejom przez jakie nasz naród przechodzi. Sierota, utulona niegdyś w skrzydła Orła białego, z wygnania i lodów syberyjskich rwie się do przybranego ojca, kiedy własne jego dziecię się wyrzeka. Odpowiedźcie! Czy to są objawy pękających ogniw organizmu naszego? Nie! „Co Bóg złączył, tego żadna siła ludzka nie rozłączy.“

Zapomniane i zniszczone prawie do ostatka ruiny „Wysokiego Zamku“, ożywiły się na raz ostatniemi laty, wskutek podanego przez posła Franciszka Smolkę pomysłu, usypania na górze zamkowéj wzorem starosławiańskim kopca, na pamiątkę przypadającéj dnia 12 Sierpnia 1869 r. trzechsetletniéj rocznicy Unii Lubelskiéj. Uroczystość ob-

chodu rocznicy poczęto dnia 12 Sierpnia 1869 r. założeniem kamienia węgielnego w najniższym poziomie kopca od strony zachodniéj pod wzgórzem, na którem stała dawniéj, zamkowa wieża strażnicza, przyczém prezydujący komitetu kopcowego Smolka, po przemówieniu do publiczności zgromadzonéj, wysypał nadesłane z rozmaitych części polski ziemie.

Z nadzwyczajnym zapałem rzuciła się publiczność do kopania i wożenia ziemi na kopiec, pomimo trudności napotykanych co kroku, z powodu ukrytych w ziemi ogromnych głazów. Sypanie jest rozłożone na lat piętnaście, a dziś już jedna trzecia pracy jest ukończoną.

Uroczystość przyjęcia gości rozpoczęła się od pracy przy kopcu. Wielkopolanie z pod Kruszwicy, Gniezna i Poznania, garstki ziemi prajców do ogólnéj skarbnicy złożyli i w nagrodę byli świadkami jak Krakowianin z Rusinem podawszy sobie ręce, nierozerwany sojusz poprzysięgli.

Z niezwykle wyniosłéj, zielonym lasem pokrytéj i bardzo stroméj góry, pomnik Unii, to ucieleśnienie całéj treści dziejów naszych, przygląda się rozrzuconéj w prześlicznéj dolinie stolicy Rusi Czerwonéj. Nad ten widok z góry zamkowéj nic nigdy piękniejszego nie widzieliśmy. Jak okiem daleko sięgniesz, tak daleko widzisz zielone smugi poprzerzynane ruczajami, białemi budowlami miasta i jego okolic. Z dołu zaś piętrząca się stromo góra i kopiec na niéj ciągle przechodniowi przypomina, że Polska jedna choć podzielona „jeszcze nie zginęła.“

* * *

„Słowiczku mój! a leć a piéj!
„Na pożegnanie piéj!
„Wylanym łzom,
„Spełnionym snom,
„Skończonéj piosnce twéj!
„Słowiczku mój, twe piórka zzuj,
„Sokole skrzydła weź,
„I w ostrzu szpon,
„Złoto-stron,
„Dawidzki hymn tu nieś!

A. M.

Muzyka zagrzmiała! Dwieście par ochoczéj młodzieży stanęło w wieńcu, z którego kolejno każda w fali tańca zginęła. A gdy dźwięki mazura się rozległy, oczy wszystkich zagrały ogniem i młodzież raźno naprzód poskoczyła. Bo też, mówi Libelt, gdy narodowy zabrzmi taniec, jakże nuta jego idzie w nogi, jak całe ciało w ruch mimowolny wprawia, a cóż dopiero gdy się w pląsach wesołe zatoczy koło? coś się niewypowiedzianego w sercu naszém dzieje. Przykład magnetycznego wpływu tańca mieliśmy w raźnéj mołodzi z pod Krakowa i Karpat, dla któréj ani białe sukmany obok fraków, ani podkówkami uzbrojone buty obok lakierków, nie były przeszkodą by w jednym stanąć wieńcu i ochoczego hołupca ze skrami uderzyć. Smagłe ich figury malowniczo się przedstawiały na wielkiéj sali. Podziwialiśmy zręczność ich tańca

Ale oto godzina pożegnania się zbliża. W tych kilku dniach tyleśmy serdeczności, mianowicie Wielkopolanie, doznali, że gościna we Lwowie na zawsze pozostanie nam w pamięci. Nie zapomnimy nigdy z jaką czułą troskliwością starano się nam przedstawić wszystko co kraj ich ma najpiękniejszego i najzacniejszego i z jaką obawą ukrywano to wszystko co cień niekorzystny nań rzucać mogło. A gdy czasem rany zakryć się nie dały, z bólem mówiono: „Co też to Wielkopolanie powiedzą?“ Nikt bez grzechu; są i u nas plamy, które pragnęlibyśmy, Galicyanie, przed Wami zakryć — tak jak je zakrywa kochający brat, by siostrze zmartwienia oszczędzić. I każdy z członków naszéj wielkiéj rozdzielonéj rodziny ma swe grzechy i swe zasługi, a szlachetna emulacya by pierwsze pokryć drugiemi, zadatkiem jest lepszéj przyszłości.

Uczucie serdecznéj gościnności dla braci Wielkopolskiéj i lutnię z nad Sanu natchnęło. Oto najstarszy, najdźwięczniejszy i na Parnasie już siedzący Kornel Ujejski uderzył w struny swéj lutni, którą od lat kilku w ukryciu chował, bo jak się w poufnéj rozmowie do nas wyraził: „dziś piewca nie śpiewa... gdyż go nikt nie słucha“, oto ten bard złoto-struny na cześć ziemi naszéj, Wielkopolanie, kilka akordów uderzył. W tak cudnéj formie i tyle czucia tylko mistrz oddać potrafi. Słuchajcie!

Każą mi bracia toast wznieść,
Więc staję. —
Nad inne polskie kraje
Téj ziemi cześć,
Téj ziemi cześć i chwała
Co polskie orły wydała!
Orłowy lot, to w niebo i słońce;
Białość, to czystość ducha i prostota.
Polacy! wyście tych potęg obrońce,
To Waszych dziejów robota.
Czy chcecie, czy nie chcecie,
Czém kazał Bóg — będziecie,
On rzekł: „Ludzkości kiedyś na zbawcę
Wezwę naród pokutny, syna-marnotrawce,
Z krwi morza on w słońce chwały
Wzleci, jak orzeł biały.“
Dziś my w upadku, a nie dla tego
Że naszą wolę łamią lub strzegą,
W nas, w nas to samych psuje się wola!
W tém najstraszniejsza niewola!
Czy chcemy, czy nie chcemy,
Czém kazał Bóg — będziemy!
Jeśli z grzechów dotąd krwią nie zmyci,
To dłużéj będziemy bici.
Aż nie dorośniem pomału,
Do wytkniętego ideału.

Szerzy się w sercach i mózgach zaraza;
Idzie wiek straszny pychy i żelaza:
Padną tyrani wielcy, zastąpią ich mali,
Równie bezbożni, a bardziéj zuchwali,
I wytknie im się droga
Bez Boga.
I porwie ich zawierucha
Bez ducha.
I poczną żywot w bydlęcéj niskości,
Bez pieśni i bez miłości!

O Polsko nasza, przyszła matko ludów!
Ponad kałuże krwi i ścieki brudów,
Ty wtenczas prawa boże i święte zwyczaje
Będziesz na białem, orlem skrzydle nieść.
A więc nad wszystkie świata kraje
Téj ziemi cześć,
Téj ziemi cześć i chwała
Co białe orły wydała.

. . . .

Oto przeraźliwy gwizd lokomotywy znak daje byśmy poraz ostatni Lwowianie ręce wasze uścisnęli. Wracamy do naszych zagród i do prac naszych, Wy pozostaniecie przy swoich i znowu wszyscy popchniemy daléj i daléj taczki nasze..... do wspólnego celu.

Żegnamy Was do roku przyszłego!

Do widzenia..... w Toruniu!

Wiktor H.

Szarada.

Równie pierwsze jak i trzecie
Drugie czwarte w alfabecie.
Nie tajcie rozwiązania wy co to zgadniecie,
Bo powiem, żeście wszyscy gdy je kryć będziecie.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 35: ***Porażka.***)

Korespondencye Redakcyi.

Pani Cz. w C: Cenimy jéj talent wysoko. Za dar Sobótce zrobiony serdeczne podziękowanie; wkrótce użytek z prac nadesłanych zrobimy. — Panu St. W. w Poznaniu: Zechciéj pan nadesłać, bowiem trudno bez przeczytania, tylko z treści pracę osądzić. O podpis nazwiska upraszamy. — Panu Amborskiemu we Lwowie: Na życiorysy i fotografie wiadomych panu mężów niecierpliwie oczekujemy. — Panu Włodzimierzowi Alek. we Lwowie: W krótce listownie skomunikujemy się — tymczasem pozdrowienie zasyłamy.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Sp. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel).